

MIECZ JAHWE

TOM 0

CÓRKA PUSTYNI



MAREK MIGAŁA

Biblijna fantastyka heroiczna

PRAWA AUTORSKIE © Marek Migąła, 2026

PIERWSZE WYDANIE POLSKIE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani przekazywana bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy.

Oryginalny tytuł: Miecz Jahwe Tom 0: Córka pustyni

Projekt okładki: autor

Ilustracje: autor

Redakcja: autor

*Dla wszystkich, którzy zadają trudne pytania dotyczące starożytnych tekstów –
i nie odwracają wzroku od odpowiedzi.*

SERIA MIECZ JAHWE

Tom o *Córka Pustyni*

♦ w twoich rękach ♦

Tom I *Pierwsza krew na pustyni*

już wydany

Tom II *Trąby Jerycha*

w przygotowaniu

Tom III *Fundamenty Szilo*

w przygotowaniu

Tom IV *Kły i Łuk*

w przygotowaniu

SPIS TREŚCI

<i>Dramatis Personae</i>	6
<i>Prolog – Morze Czerwone</i>	11
Dzieci pustyni	21
<i>Retrospekcja I · Abiram: Dziecko kanałów</i>	42
Ostrzeżenie	55
<i>Retrospekcja II · Abiram: Droga w pustynię</i>	67
Dzieci i kapłani	79
Wilcy pustyni	91
Noc wilków	105
Pościg bez twarzy	117
Pierwsze polowanie	129
Szkoła Abirama	142
Pierwsza krew	155
Miecz Jahwe	165
Człowiek od garnków	179
<i>Retrospekcja III · Mojżesz: Wody Meriba</i>	195
Dom kupca	203
Świątynia Baala	214
Purpurowy namiot	222
Brat z kuźni	231
Nóż w ciemności	243
Człowiek pustyni	254
Dwie siostry, jedna noc	264
Rydwany Hebronu	275
Syn domu	288

Trzy nici	304
Próba	314
Zwiad	325
Złoto Jerycha	335
Pakt z ciemnością	348
Posłaniec Jozuego	358
Wujek Boaz	368
Pierścień Magona	377
Dwa głosy	387
Cena wisiorka	398
Obóz Izraela	408
<i>Epilog – Światło w ciemności</i>	425

DRAMATIS PERSONAE



soby i miejsca w opowieści

CÓRKA PUSTYNI

Sira, córka Hebera i Aszery – dziewczynka porwana przez bandytów w szóstym roku życia, wychowana przez Abirama na wojownika. Przez trzynaście lat żyje w bandzie, walcząc i ucząc się, szukając granicy której nie zdoła przekroczyć.

Dalia, siostra Siry – młodsza o rok, obdarzona darem widzenia przyszłości w urywkach i obrazach. Sprzedana do Jerycha, trafia pod opiekę Rachaby. Nigdy nie widzi własnego losu.

Heber, syn Nachona – ojciec Siry i Dalii, kupiec i były strażnik karawan. Człowiek spokojny i pewny, który rozumiał że wolność ma cenę i był gotów ją płacić.

Aszera, córka Lewiego – matka Siry i Dalii. Znała właściwy moment na wszystko – kiedy zbierać talerze, kiedy milczeć, kiedy mówić.

Boaz, brat Aszery – wujek dziewczynek, były strażnik karawan przy Hebrze. Gruby, wesoły, mądrzejszy niż wygląda. Jego humor jest tarczą; bez śmiechu jest groźniejszy.

Mirta, żona Boaza – spokojna, drobna, z cierpliwością kogoś kto przez lata ćwiczył opanowywanie nieukojnego. Ripostuje krócej i celniej niż mąż.

Efron i Elan – synowie Boaza i Mirty, bliźniacy, nieodróżnialni i kłótlivi. Robią sobie z nieodróżnialności dowcipy.

BANDA ABIRAMA

Abiram – herszt bandy pustyni. Były Medżaj, uczeń kapitana Menkary, zabójca i strateg. Wziął Sirę jako dziecko bo zobaczył w niej to samo co w sobie. Czeka na Kanaan po drugiej stronie muru.

Menkara – kapitan Medżajów, pierwszy mistrz Abirama. Uczyl go wszystkiego czego ten potrzebował, nie wiedząc że uczy własnego zabójcę.

Elisur – doradca przy radzie kapłańskiej Baala, człowiek z Jerycha i Hebronu. Planuje dalej niż wyciągnięte ramię. Przyszedł do Abirama z propozycją której ten nie odrzucił.

DOM RACHABY

Rachaba – zamożna i wpływowa kobieta Jerycha. Kupiła Dalię na targu z przyczyn które nie do końca sama rozumie. Strzegła jej lojalnie.

Szner – syn Rachaby. Pewny siebie wojownik, zbyt pewny jak na swój wiek. Zmienia się powoli pod wpływem Dalii – w kierunku którego nie planował.

Hiram – kupiec przy domu Rachaby. Miał córkę która umarła na gorączkę. Kiedy Dalia uzdrowiła jego syna – milczał i zastanawiał się co ze sobą zrobić z tym długiem.

Elam, syn Hiram – uzdrowiony przez Dalię z gorączki. Przynosi jej kamienie z wyschłych rzek i zadaje pytania o Boga.

Pinchas, wnuk Aarona – kapłan przy Przybytku, strażnik świętości Namiotu Spotkania. Twarz ostra jak nóż do ofiar.

OBÓZ IZRAELA

Kaleb – stary weteran, jeden z dwóch szpiegów wysłanych przez Jozuego do Kanaanu. Przyjął Sirę do obozu. Znał jej ojca z czasów karawan i milczał o tym przez długi czas.

Mojżesz – prorok i przywódca Izraela. Niesie ciężar który nie jest jego ciężarem do odłożenia. Dotarcie do Kanaanu jest jedyną misją której nie może porzucić.

Aaron – brat Mojżesza, kapłan, głos gdy Mojżesz nie może mówić. Pamięta brata sprzed Horebu i wie że tamten już nie wróci.

PRZYSZŁOŚĆ – MIECZ JAHWE

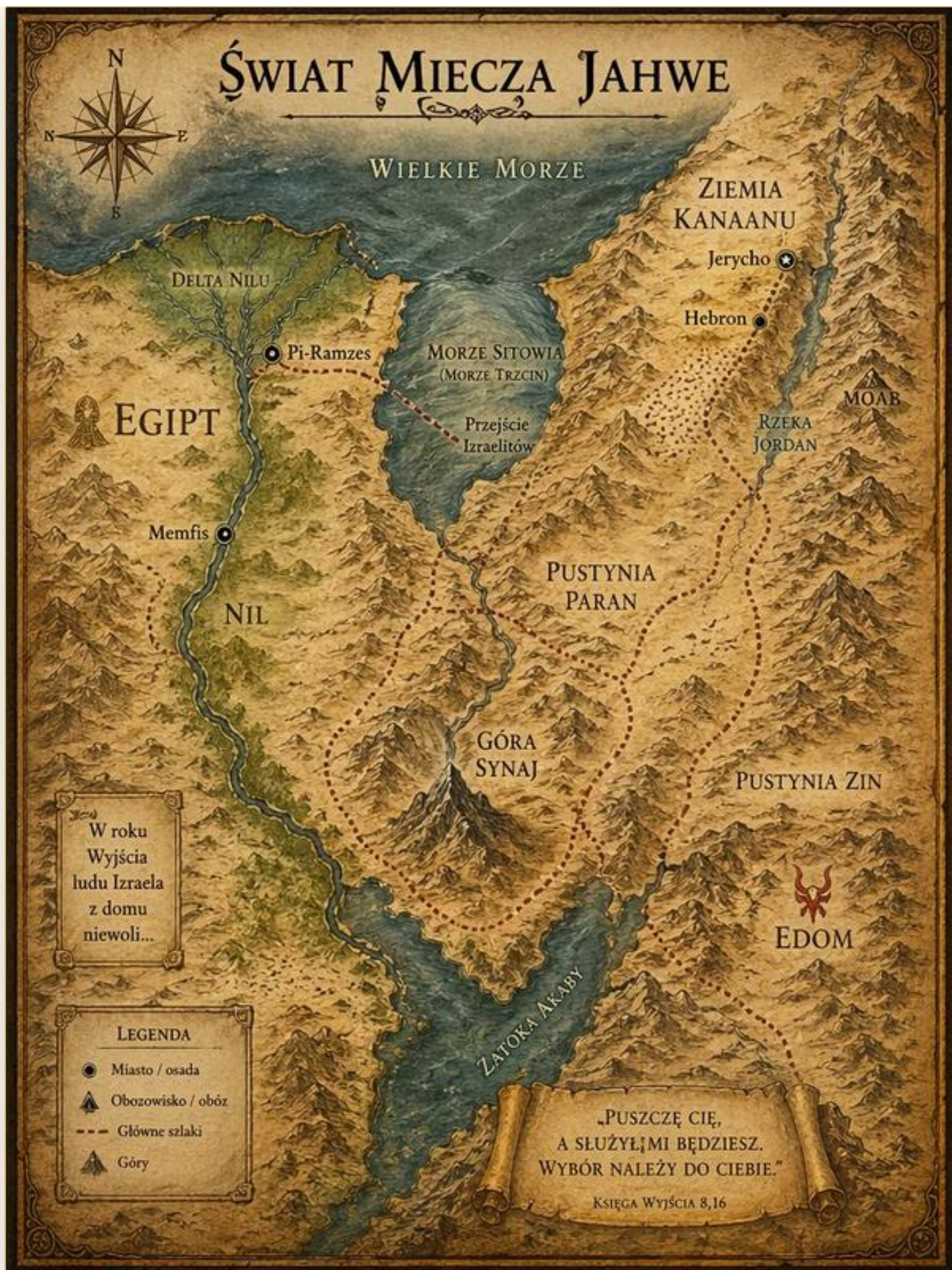
Barak – piętnaście lat, syn Mojżesza i kobiety której imienia nikt przy nim nie wymawiał. Wychowany przez sześciu mistrzów. Jeszcze nie wie kim jest. Widzi co robi Bóg – i na razie to wystarczy.

Goliath, syn Hirma kowala – szesnaście lat, wyższy od Anakitów, spokojniejszy od wszystkich. Słucha metalu. Metal mówi mu co chce. Siostra: **Mira**, siedem lat, z tą samą konkretną miną obserwatora.

Hiram, ojciec Goliatha – kowal z Kiriath-Arba, prawie tak wysoki jak syn. Warsztat i renoma – i czynsz który rósł. Barak dał mu wyjście.

ŚWIAT MIECZA JAHWE

ŚWIAT MIECZA JAHWE



MORZE CZERWONE



Sześćset tysięcy mężczyzn zdolnych do noszenia broni.

Tyle ich było, nie licząc kobiet, dzieci, starców i obcych, którzy przyłączyli się do Izraela w noc Exodusu. Razem może dwa miliony ludzi – lub więcej – ciągnących przez pustynię Szur jak rzeka, która nie wie jeszcze że płynie ku morzu. Za nimi trzody kóz i owiec, osły objuczone dobytkiem, wozy skrzypiące pod ciężarem tego, co naród zdążył wyrwać z Egiptu w jedną noc. Złoto. Srebro. Tkaniny. Rzeczy pożyczone od sąsiadów, których nikt już nie zamierzał oddawać.

Na przedzie szedł słup ognia.

W nocy – kolumna płomienia, widoczna z każdego miejsca w obozie, nieugaszona przez wiatr ani piasek. W dzień – słup obłoku, który dawał cień tak gęsty, że pod nim można było zapomnieć o słońcu. Jahwe prowadził swój naród osobiście, i jeśli ktoś miał co do tego wątpliwości, wystarczyło, że spojrzał w niebo.

Ale to było trzy dni temu.

Teraz przed nimi było morze.



Morze Sitowia – Jam Suf – rozciągało się przed nimi jak koniec świata. Woda była ciemnozielona, prawie czarna w świetle wieczoru, i choć nad brzegiem panował spokój, każdy mógł poczuć, jak fale pracują głębiej, ciężko i niespiesznie, jak oddech czegoś ogromnego.

Izrael zatrzymał się.

I wtedy ktoś krzyknął od tyłu.

Najpierw jeden krzyk. Potem drugi. Potem tysiące — fala paniki przeszła przez obóz jak wiatr przez pole pszenicy, przechylając wszystko w tym samym kierunku.

Egipt szedł za nimi.



Faraon Ramzes przysłał sześćset rydwanów bojowych — elitę, serce armii egipskiej. Każdy rydwan pociągały dwa konie rasy libijskiej, szkolone od źrebięctwa do biegu po piaszczystym terenie. Każdy rydwan niósł trójkę: woźnicę w skórzanym pancerzu, łucznika z egipskim łukiem refleksyjnym napinanym siłą obu ramion, i tarczownika z brązową tarczą i włócznią z grotem z twardszego brązu niż cokolwiek, co miał Izrael.

Za rydwanami szła piechota.

Sześć tysięcy żołnierzy w sformowanych oddziałach — Medżaj i Szardana, najemnicy z Morza i nubijscy wojownicy z łukami z czarnego drewna. Szli w kolumnach po czterech, z tarczami na plecach i mieczami przy pasach. Nie spieszyli się. Dwa miliony ludzi nie ucieknie daleko — zwłaszcza gdy przed nimi stoi morze.

Na czele jechał generał Horemheb na białym koniu — wysoki, z twarzą wyrzeźbioną jak maska pogrzebowa i oczami, które od trzydziestu lat widziały wyłącznie zwycięstwa. Miał na sobie zbroję z brązowych łusek na skórzanym podkładzie, na głowie hełm z piórami strusia, a na przedramieniu bliznę po strzale Nubijczyka, z którym jeszcze tego samego dnia wygrał zakład o to, że broń wroga nie powstrzyma Egiptu.

Horemheb patrzył na ciemną masę Izraelitów przy brzegu i uśmiechał się.

Mieli ich.



W tłumie Izraelitów panika miała własny głos.

– Czy nie było grobów w Egipcie, że wyprowadziłeś nas tu umierać?!

– Lepiej służyć Egipcjanom niż zginąć na pustyni!

– Mówilem! Mówilem od początku!

Głosy nakładały się na siebie jak fale. Kobiety ścisnęły dzieci. Mężczyźni patrzyli na morze, potem na tuman kurzu wznoszący się za horyzontem od strony Egiptu, i żaden z tych widoków nie był dobry.

Mojżesz stał na brzegu plecami do morza.

Twarz miał spokojną. Nie dlatego, że nie czuł strachu – czuł go jak każdy. Ale nauczył się przez osiemdziesiąt lat życia, że strach mówi prawdę tylko o tym, co jest teraz, a nie o tym, co będzie za chwilę. Trzymał laskę oburącz. Drewno było stare i gładkie od lat dotykania, i miało w sobie to, co mają rzeczy długo używane do jednego celu – pewność.

Aaron stanął obok niego.

– Nie zatrzymamy ich – powiedział cicho.

– Wiem.

– Co więc zrobimy?

Mojżesz nie odpowiedział od razu. Patrzył na tłum. Na twarze. Na dzieci na ramionach ojców. Na starców, którzy siedzieli na tobołkach bo nogi już ich nie niosły, a mimo to wstali gdy kazano i szli, bo tyle lat czekali żeby wstać i iść.

Poczuł coś, co czuł rzadko – nie głos, nie słowo, nie wizję. Tylko ciężar dłoni na ramieniu, której nie było widać.

Odwrócił się do ludu.

– Nie bójcie się! – Jego głos niósł się nad tłumem bez wysiłku, tak jak niesie się głos człowieka, który przez całe życie mówił na wiatr i nauczył się jak go używać. – Stójcie i patrzcie na wybawienie Jahwe, które wam dziś zgotuje! Egipcjanie, których widzicie dziś, już nigdy ich nie zobaczycie! Jahwe będzie walczył za was, a wy milczcie!

Tłum ucichł.

Nie dlatego, że uwierzył. Dlatego, że ta cisza była jedyną odpowiedzią, którą potrafił dać.



Słup obłoku, który przez trzy dni siedł przed Izraelem, zatrzymał się.

Powoli, bez hałasu, bez znaku – przeszedł z przodu za nich. Stanął między obozem Izraela a armią egipską jak mur. Od strony Egiptu był czarny jak najgęstsza noc. Od strony Izraela – jaśniał.

Horemheb wstrzymał kolumny.

Jego dowódcy podjechali bliżej.

– Co to? – zapytał jeden z nich – dowódca rydwanów, człowiek z dwudziestoma latami służby i twardą twarzą człowieka, który widział wszystko.

– Nie wiem – powiedział Horemheb.

To były dwa słowa, których przez trzydzieści lat służby nie wypowiedział ani razu.

Rydwany stanęły. Konie parskwały niespokojnie. Żołnierze patrzyli na ciemną ścianę obłoku i żaden z nich nie mówił nic, bo nie było co mówić.

Noc zapadła szybko, jak zapowiada ją pustynny zachód słońca – bez długiego zmierzchu, bez ostrzeżenia.



Mojżesz wszedł na brzeg po kolana w wodzie.

Woda była zimna. Fale uderzały w jego szatę i ciągnęły ją w dół jak coś, co chciało go zatrzymać. Trzymał laskę wyciągniętą nad morze, a wiatr – silny, gorący, ze wschodu, wiatr, który nie miał tu czego szukać o tej porze roku – zaczął wiać.

Wiał przez całą noc.

Nikt z Izraela tej nocy nie spał. Stali i patrzyli jak morze – wielkie, czarne, niepojęte – zaczyna się zachowywać jak coś, co ma posłuch. Woda cofała się. Nie jak przy odpływie, powoli i równomiernie. Gwałtownie. Z hukiem. Jakby morze odsuwało się od czegoś, czego się bało.

Pośrodku pojawiło się dno.

Suche. Twarde. Z kamieniami i muszelkami i wszystkim tym, co przez wieki leżało na dnie i nie spodziewało się nigdy zobaczyć nieba.

Ściana wody po lewej stronie sięgała wysokości dwudziestu łokci i stała prosto, pionowo, jak mur z zielonego szkła, i widać było przez nią ryby – nieruchome, zawieszone, zdeorientowane – które nie rozumiały co się z ich światem stało.

To samo po prawej.

Droga była gotowa.



Pierwszy wszedł Nachszon ben Aminadab z pokolenia Judy.

Nie czekał na rozkaz. Wziął swój tobolek, wziął żonę za rękę, spojrział na dno morza i wszedł. Mówiono potem, że szedł aż woda sięgnęła mu po szyję, i dopiero wtedy droga się otworzyła. Ale to była historia,

którą opowiadano dzieciom. Prawda była prostsza i bardziej zdumiewająca: wszedł, bo ktoś musiał wejść pierwszy, i wybrał siebie.

Za nim ruszył Izrael.

Dwa miliony ludzi.

Na suchym dnie morza, między ścianami wody, które stały po obu stronach jak żywe mury i szumiały głucho tym szumem, który słyszy się gdy przykładą się muszlę do ucha – jakby morze oddychało – szły rodziny, klany, pokolenia. Dzieci, które nie rozumiały co się dzieje, ale bały się mniej niż dorośli, bo dorośli wiedzą ile jest do stracenia. Starcy, którzy pamiętali Egipt i nie płakali teraz, bo łzy zużyli wcześniej i zostało im tylko to ciężkie, milczące zdumienie.

Arka Przymierza szła w środku pochodu.

Nieśli ją Lewici na drogach z akacjowego drewna pokrytego złotem. Skrzynia była z drewna akacjowego, dwa i pół łokcia długa i półtora łokcia szeroka, pokryta złotem wewnątrz i zewnątrz, z dwoma cherubinami ze szczerzego złota siedzącymi na pokrywie z rozpostartymi skrzydłami. Między nimi mieszkała Obecność. Nikt nie patrzył na Arkę wprost – nie dlatego, że ktoś zabronił, ale dlatego, że nie dało się patrzeć długo. Jakby oczy same odwracały się od czegoś, co jest zbyt jasne.

Szli przez całą noc.



O świcie Horemheb dał rozkaz.

Obłok odsunął się tuż przed brzaskiem i generał zobaczył: morze rozstąpione, Izrael na dnie idący po drugiej stronie, i drogę między ścianami wody otwartą jak brama.

Rydwany ruszyły.

Sześćset rydwanów wjechało na suche dno morza w kolumnach po cztery, konie grzmiały kopytami o twardy grunt, woźnicy z biczami, łucznicy z napiętymi łukami, i krzyk bojowy armii egipskiej – „dla

faraona!” – który niósł się ponad wodą jak wyzwanie rzucone niebu.

Horemheb jechał na czele. Widział plecy Izraelitów na drugim brzegu, już prawie wszystkich po drugiej stronie, i liczył w głowie dystans i prędkość, i wiedział że dogoni ich zanim się rozproszą.

I wtedy koła zaczęły grzęznąć.

Najpierw jeden rydwan. Potem drugi. Dno, które pod stopami Izraelitów było twarde jak kamień, pod kołami egipskich rydwanów zrobiło się miękkie jak błoto. Koła wchodziły w piasek. Konie szarpały i ślizgały się. Woźnice krzyczeli. Kolumna zaczęła się zbijać.

– Z powrotem! – krzyknął ktoś z tyłu.

Horemheb uniósł rękę.

Za późno.



Mojżesz stał na drugim brzegu z wyciągniętą laską.

Wiatr zmienił kierunek.

Ściany wody drgnęły.

To nie był powolny ruch. Morze nie zbierało się i nie ostrzegało. Wróciło jak coś, co zostało odciągnięte z całą siłą i teraz puścili je naraz. Z hukiem, który zagłuszył krzyki ludzi i koni – hukiem, który ci, co przeżyli, opisywali potem jako coś pomiędzy gromem a trzęsieniem ziemi – ściany wody zwały się do środka.

Rydwany, konie, żołnierze, łucznicy, woźnicy, generał Horemheb na białym koniu, dwadzieścia lat służby i trzydzieści zwycięstw – wszystko zniknęło pod wodą w czasie krótszym niż chwila, w której człowiek zdąży się zorientować co się dzieje.

Morze wróciło na swoje miejsce.

Fale. Zieleń. Spokój.

Jakby nic nie było.



Na brzegu panowała cisza.

Nie taka cisza jak przed burzą. Taka jak po czymś, dla czego nie ma słowa – bo słowa opisują rzeczy, które zdarzają się w granicach tego, co możliwe, a to co właśnie się stało, tych granic nie miało.

Potem fale zaczęły wyrzucać na brzeg ciała.

Konie. Złamane koła rydwanów. Tarcze z brązu. Hełmy z piórami strusimi. Łuki. Włócznie. Ciała egipskich żołnierzy kołyszące się w wodzie jak szmaciane lalki, z twarzami spokojnymi w śmierci tak jak nie były w życiu.

Izrael patrzył.

Jeden starzec uklęknął. Potem drugi. Potem kobiety, mężczyźni, dzieci – padali na kolana nie dlatego, że ktoś kazał, ale dlatego, że to był jedyny ruch, który miał sens, gdy stało się przed czymś takim.

Aaron odwrócił się do Mojżesza.

Nie powiedział nic przez długą chwilę.

– Widziałem – odezwał się w końcu cicho – jak Nil stał się krwią. Widziałem żaby pokrywające pałace. Widziałem grad mieszany z ogniem. Widziałem śmierć pierworodnych.

Urwał.

– Ale to...

Mojżesz patrzył na morze. Na ciała. Na to co z nich zostało gdy Egipt zderzył się z wolą Boga.

– To jest kres – powiedział cicho. – Egipt skończył się dziś nad tym morzem. Nie armia. Nie faraon. Egipt. To co widzi się w snach gdy mówi się słowo „moc” i „niemożliwe”. Skończyło się.

Aaron spojrzał na tłum klęczący na brzegu.

– Boją się bardziej niż przed chwilą.

– Tak – powiedział Mojżesz. – Właśnie dlatego muszę teraz do nich mówić.

Aaron pokiwał głową.

– Co im powiesz?

Mojżesz obrócił się i spojrzał na lud – na dwa miliony twarzy patrzących na niego z tym samym wyrazem co zawsze, gdy coś przekraczało ich rozumienie. Oczekiwanie. I lęk, że może ten człowiek z laską wie równie mało co oni, a jedyna różnica między nimi jest taka, że on jedyny miał czelność stanąć na brzegu i wyciągnąć rękę.

– Powiem im żeby śpiewali – odrzekł.

Aaron zmrużył oczy.

– Żeby śpiewali?

– Bo to jedyne co da się zrobić gdy nie ma słów. – Mojżesz odchrząknął i podniósł głos: – Śpiewajmy Jahwe, bo swą chwałą okrył się cały!

Tłum milczał sekundę.

Potem – najpierw jeden głos, potem dziesiątki, potem setki tysięcy – podchwyciły.

Miriam, siostra Aarona, wzięła bębenek w dłonie i wybiegła przed kobiety, i zaczęła tańczyć, i kobiety tańczyły za nią, i śpiew niósł się nad brzegiem morza gdzie leżały szczątki armii egipskiej, i fale przynosiły kolejne ciała, i Izrael śpiewał.

Mojżesz stał z boku i słuchał.

W jego oczach nie było triumfu. Było zmęczenie – głębokie, kościane, takie jakie zostaje po tym gdy przez lata niesie się coś ciężkiego i nagle można to odłożyć, ale mięśnie wciąż pamiętają ciężar.

I coś jeszcze.

Wiedział coś, czego naród nie wiedział jeszcze. Że droga nie skończyła się nad tym morzem. Że Kanaan jest daleko i pełen ludzi, którzy nie zamierzają oddać swojej ziemi bez walki. Że to co właśnie zobaczyło dwa miliony ludzi – cud tak wielki że aż niemożliwy – wystarczy im na trzy dni zachwyty. A czwartego dnia ktoś zacznie narzekać na wodę.

Znał swój naród.

Ale znał też swojego Boga.

I to wystarczyło żeby ruszyć w drogę.

Odwrócił się tyłem do morza i stanął twarzą do pustyni.

Przed nimi była Synaj. Przed nimi był Kanaan. Przed nimi było wszystko, co Jahwe obiecał i co Izrael musiał jeszcze zdobyć własną ręką i własną krwią, bo obietnica nie jest tym samym co spełnienie, i każdy naród musi sam przejść drogę między nimi.

Mojżesz ruszył.

Za nim ruszył Izrael.

A morze za ich plecami szumiało spokojnie, tak jak szumi od zawsze, obojętne na to co ludzie nazywają cudami i co ono samo zna jako po prostu – wolę właściciela.

KONIEC · PROLOG

DZIECI PUSTYNI



Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy obóz Izraela zaczął się poruszać.

Najpierw obudziły się kozy. Potem psy pasterskie. Potem kobiety. Na końcu dzieci – choć to ostatnie było raczej umowne, bo większość dzieci w obozie w ogóle nie spała głęboko. Pustynia nie sprzyja głębokiemu snu. Zawsze jest jakiś dźwięk, jakiś zapach, jakaś zmiana wiatru, która mówi, że świat nie zatrzymał się na noc i nie zamierza czekać na tych, którzy by chcieli, żeby tak było.

Obóz rozciągał się szeroko jak miasto z płótna i skóry. Setki namiotów stały w długich rzędach, a między nimi prowadziły wąskie ścieżki wydeptane przez tysiące stóp. Każda rodzina miała swoje miejsce, każde pokolenie swój sektor, każde plemię swój kąt obozu wyznaczony przez starszych i pilnowany z tą samą zaciętością, z jaką Izraelici strzegli swoich owiec – czyli intensywnie, ale bez przesadnej nadziei na dobre wyniki. Nad namiotami wisiały sztandary plemion – barwne, choć wypłowiałe od pustynnego słońca, postrzępione przez wiatr, ale wciąż rozpoznawalne.

W samym środku obozu wznosiło się miejsce, którego nikt nie przekraczał bez czci. Przybytek Jahwe. Namiot Spotkania otoczony podwójnym płótnem, z drewnianymi słupami i srebrnymi haczykami, z ołtarzem przed wejściem gdzie zawsze tlił się ogień. Tam mieszkali kapłani Aarona i Lewici, którzy pilnowali świętych rzeczy Izraela – Arki, stołu chlebów pokładnych, złotego świecznika o siedmiu ramionach. Nad tym miejscem zawsze unosiła się cisza inna niż wszędzie. Ciężka. Spokojna. Pełna czegoś, czego nie można było nazwać, bo każde imię byłoby za małe.

Ale na skraju obozowiska, gdzie namioty były już trochę krzywe i sznury napięte nie zawsze tam gdzie trzeba, życie było zwyczajne.

Sira już nie spała.

Miała sześć lat i uważała, że świat jest ciekawszy niż sen. Wyszła z namiotu zanim matka zdążyła ją zatrzymać – co nie było trudne, bo matka spała twardo i Sira poruszała się cicho jak kot, bo wcześniej przy kilku okazjach robiła głośno i wtedy były konsekwencje. Piasek był jeszcze chłodny pod bosymi stopami, powietrze pachniało dymem wygasłych ognisk, mlekiem kóz i tym suchym, mineralnym zapachem pustyni, który po pewnym czasie człowiek przestaje czuć, bo staje się częścią niego samego.

Bo ziemia była biała.

Manna. Drobne ziarenka rozsypane po piasku jak śnieg, jak sól, jak coś, dla czego nie ma dobrego porównania bo nic z czym można je porównać nie spada z nieba każdej nocy. Zbierali ją od lat – odkąd wyszli z Egiptu, odkąd morze się rozstąpiło i znowu zamknęło, odkąd zaczęła się ta droga, która nie wyglądała na kończącą się w przewidywalnym czasie. Każdego ranka tyle, ile potrzeba na jeden dzień. Nie więcej. W szabat dwa razy tyle, bo w szabat się nie zbiera. Jahwe miał swoje zasady i nie był elastyczny w kwestii ich stosowania.

Sira uklękła i podniosła jedno ziarenko. Było lekkie jak nic. Miało lekko słodkawy smak i konsystencję czegoś między mąką a rosą – i pokolenia skrybów będą się spierać jak to opisać i żaden nie znajdzie właściwego słowa.

– Spadła znowu – powiedziała z zachwytem.

– Zawsze spada – odezwał się ktoś za jej plecami. Głos spokojny, lekko zachrypnięty od porannej ciszy.

To był jej ojciec. Heber, syn Nachona, siedział przy ognisku i ostrzył grot włóczni powolnymi, rytmicznymi ruchami kamienia. Był wysokim, szerokim człowiekiem o ramionach jak belki namiotu i twarzy opalanej do koloru ciemnego drewna przez lata spędzone na pustyni. Miał na sobie prostą lnianą szatę i sandały z wielbłądziej skóry, i wyglądał jak większość mężczyzn w obozie – ale ruszał się inaczej. Był strażnikiem karawan przez wiele lat w Egipcie, człowiekiem, który przeprowadzał kupców przez pustynię i walczył z tymi, którzy chcieli im zabrać towar. Teraz był kupcem. Ale ciało nie zapomina lat walki tak szybko jak głowa.

– Tato.

– Co znowu.

– Opowiedz o bandytach.

Westchnął. Było to westchnienie człowieka, który wie, że musi to zrobić, i który w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko, ale czuje, że jakaś forma protestu jest stosowna.

– Znowu?

– Znowu.

– Wczoraj ci opowiadałem.

– Ale inaczej.

– Jak inaczej?

– Bez tej części gdzie rzuciłeś nożem.

Ojciec odłożył kamień i wziął włócznię. Przez chwilę patrzył na grot jak ktoś, kto sprawdza czy praca jest skończona. Nie była jeszcze skończona, ale na tyle dobra, żeby odłożyć na chwilę.

– Dobrze. Ale to naprawdę ostatni raz.

Sira natychmiast usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami i twarzą człowieka, który zamierza słuchać z pełną uwagą, co zdarzało jej się rzadko przy czymkolwiek innym.

– Szliśmy przez pustynię trzy dni bez wody – zaczął ojciec. – Karawana była zmęczona. Wielbłądy też. Kupcowi zaczęło chodzić po głowie, że może zostawił zbyt dużo towaru w Egipcie i za mało wziął wody, i miał rację w obu kwestiach. I wtedy zobaczyłem kurz na horyzoncie.

– Bandyci.

– Bandyci. Trzech.

Sira otwierała usta żeby powiedzieć coś o liczbie, ale ojciec uprzedził ją gestem.

– Trzech. Zgoda. Duzi. Na dobrych koniach. Z mieczami i łukami. Kupiec zaczął się trząść. Poganiacz wielbłądów zaczął się modlić. Strażnicy – a było nas dwóch – spojrzeliśmy po sobie.

– I co zrobiłeś?

– Powiedziałem drugiemu strażnikowi żeby trzymał wielbłądy i nie ruszał się. A sam pojechałem naprzeciw nim.

– Sam?

– Sam.

Sira zmrużyła oczy w wyrazie, który u sześciolatki mógłby uchodzić za sceptycyzm.

– Dlaczego?

– Bo bandyci są jak psy. Idą za tym, kto się cofa. Ale jeśli cofa się cała karawana, to biorą wszystko. Jeśli jeden człowiek wyjeżdża naprzeciw nim – zwalniają. Myślą.

– A potem?

– A potem rzuciłem nożem. Trafił pierwszego w ramię. Drugi zawrócił natychmiast, bo zrozumiał, że to nie jest kupiec tylko ktoś z innej branży. Trzeci chciał walczyć, ale kiedy zobaczyłem, że jest sam, już nie chciał.

Sira chwilę przetrawiła tę informację.

– Naucz mnie rzucać nożem.

– Masz sześć lat.

– Ale będę wojownikiem.

Ojciec spojrzał na nią poważnie, jakby rozważał argument.

– Zacznijmy od chodzenia prosto. Wczoraj potknęłaś się o własne sandały.

– To były cudze sandały. Dalia je zostawiła.

W tym momencie z namiotu wyszła matka, niosąc kosz na mannę i twarz kogoś, kto obudził się za wcześnie i zamierza to wybaczyć, ale nie od razu. Miała ciemne włosy i spokojne oczy i sposób poruszania się, który sugerował, że wszystko jest pod kontrolą, nawet kiedy absolutnie nie jest.

– Opowiadasz jej te historie.

– Sama chce słuchać.

– To prawda – potwierdziła Sira.

Matka postawiła kosz i zaczęła zbierać mannę metodycznie, garść po garści. Za nią z namiotu wyszła Dalia – młodsza o rok, o twarzy spokojnej jak woda w studni i oczach, które zawsze patrzyły trochę dalej niż reszta ludzi. Usiadła obok matki i też zaczęła zbierać, ale powoli, jakby każde ziarenko wymagało chwili zastanowienia.

– Jahwe nas karmi – powiedziała cicho, patrząc na białe ziarenka w dłoniach.

– Tak – powiedziała matka i pogłodziła ją po głowie.

– I prowadzi.

Sira prychnęła.

– A ja będę wojownikiem.

Dalia podniosła na nią wzrok.

– Jesteś dziewczyną.

– Wiem.

– Dziewczyny nie muszą walczyć.

– Ja będę.

Dalia rozważyła to przez chwilę z powagą, na jaką zasługuje każda ważna deklaracja.

– To bardzo dużo pracy – powiedziała w końcu.

– Wiem.

– I pewnie boli.

– Wszystko boli. Nawet chodzenie w cudzych sandałach.

Ojciec wybuchnął śmiechem. Matka pokręciła głową. Dalia wróciła do zbierania manny. Mały pies pasterski wyszedł spod namiotu, ziewnął szeroko pokazując wszystkie zęby, obejrzał świat i postanowił, że jest zadowolający. Usiadł przy Sirze i położył łeb na jej kolanie.



Dzień w obozie rozwijał się powoli i przewidywalnie, bo takie są dobre dni – nie zdarza się w nich nic, o czym warto by opowiadać.

Kobiety miały manę w ręcznych żarnach – monotonny, rytmiczny dźwięk, który niósł się między namiotami od świtu do południa. Mężczyźni naprawiali uprzęże i narzędzia, łatali namioty, rozmawiali o drodze i o tym, kiedy w końcu dojdą, bo od kiedy pamiętali rozmawiali o tym i odpowiedź zawsze brzmiała: wkrótce, Jahwe prowadzi, nie tracić wiary – co jest poprawną odpowiedzią teologicznie, ale mało konkretną logistycznie.

Sira ćwiczyła z patykiem.

Ojciec pokazał jej podstawowy chwyt i dwa ruchy – pchnięcie i zasłona górna – po czym wrócił do ostrzenia grotu, bo miał do skończenia robotę. Sira ćwiczyła sama, z taką powagą i skupieniem, jakich większość dorosłych nigdy nie osiąga przy żadnej czynności. Patyk był za długi i za ciężki jak na sześciolatka, ale na to nie zwracała uwagi. Chwyt. Krok. Pchnięcie. Znowu. Znowu. Mały pies biegał wokół niej, nie wiedząc czy to zabawa czy coś, w czym powinien brać udział.

Dalia siedziała w cieniu namiotu i słuchała.

Niedaleko starsza kobieta śpiewała psalm – powoli, bez melodii która by się trzymała ściśle jednej nuty, ale z takim przekonaniem że brakowało jej tylko rytmu żeby być piękna. Dalia zamknęła oczy i powtarzała słowa cicho za nią.

– Jahwe jest pasterzem moim, nie brak mi niczego...

– Nie możesz ćwiczyć ze mną? – zapytała Sira, przerywając pchnięcie.

– Nie chcę.

– Ale gdyby ktoś na ciebie napadł –

– Jahwe mnie ochroni.

Sira zmrużyła oczy.

– A gdyby nie zdążył?

Dalia otworzyła oczy i spojrzała na siostrę z wyrazem kogoś, kto właśnie usłyszał pytanie, na które odpowiedź jest oczywista, ale nie jest pewna jak przekazać jej oczywistość.

– Jahwe zawsze zdąży.

Sira uznała, że ta rozmowa nie prowadzi donikąd. Wróciła do ćwiczeń. Patyk. Krok. Pchnięcie.



Spokój trwał dokładnie do chwili, gdy zza namiotów wyłonili się bliźniacy Boaza – Efron i Elan, albo Elan i Efron, bo nikt poza nimi samymi nie był pewny – i ogłosili, że Dalia jest im winna jedną figę, ponieważ przegrała zakład.

– Nie przegrałam – powiedziała Dalia, nie otwierając oczu. – Bo nie zakładałam się z wami.

– Założyłaś się wczoraj. Że nie zjemy całej miski daktyli na raz.

— Powiedziałam, że *nie powinniście*. To nie jest zakład. To jest ostrzeżenie. — Dalia otworzyła jedno oko. — I jak, zjedliście?

Bliźniacy spojrzeli po sobie tym swoim spojrzeniem, którym porozumiewali się bez słów, i nagle obaj zrobili się trochę zieloni na twarzy. Bo owszem, zjedli. Wszystkie. I noc mieli, delikatnie mówiąc, pracowitą.

— To się nie liczy — oświadczył jeden z nich z godnością człowieka broniącego przegranej sprawy.

— Wszystko się liczy — powiedziała Dalia słodko. — Mama mówi, że nawet daktylę się liczą. Zwłaszcza w drugą stronę.

Sira parsknęła śmiechem nad swoim patykiem. Bliźniacy, pokonani przez logikę i własne żołądki, wycofali się szukać łatwiejszej ofiary. Dalia zamknęła z powrotem oko i wróciła do słuchania psalmu, jakby nic się nie stało — ale w kąciku jej ust został cień zadowolenia z dobrze rozegranej potyczki.



Później, kiedy słońce stało wysoko, Sira znalazła siostrę przy zagrodzie dla kóz, kucającą nad czymś w piasku. Podeszła i zobaczyła: pisklę — małe, szare, wypadłe z gniazda pod skalną półką, z jednym skrzydłem ułożonym nie tak, jak trzeba. Wróble gnieździły się w skałach nad obozem, a to wypadło i nie umiało wrócić.

— Zostaw — powiedziała Sira. — I tak zdechnie. Wszystko, co wypadnie z gniazda, zdycha.

— Może — powiedziała Dalia. Nie spierała się, bo Dalia rzadko się spierała. Ale dalej robiła swoje: zrobiła z gałązki i suchej trawy małe gniazdo w wyciętej tykwie, włożyła do niego pisklę, naskubała okruchów z placka i rozmiękczała je w kropli wody na czubku palca. Robiła to z tą cierpliwością, której Sira nie miała do niczego poza ostrzeniem noża — godzina, dwie, kropla po kropli.

— Po co — zapytała Sira, naprawdę nie rozumiejąc. — Strata czasu.

Dalia zastanowiła się, jak zwykle poważnie, zanim odpowiedziała.

— Bo ono nie wie, że ma zdechnąć — powiedziała w końcu. — Myśli, że ma żyć. Więc póki tak myśli, ja mu pomagam. — Podniosła wzrok. — Ty pilnujesz, żeby nas nikt nie skrzywdził. Ja pilnuję, żeby ktoś pamiętał, że warto być dobrym. To są dwie różne roboty, Siro. Obie potrzebne.

Sira nie miała na to odpowiedzi. Piskłę zresztą i tak zdechło dwa dni później — ale to było dwa dni, przez które ktoś przy nim był, i Dalia nie uznała tego za przegraną. „Dwa dni to dwa dni”, powiedziała, i pochowała je pod kamieniem z taką powagą, jakby chowała kogoś ważnego.



Wieczorem, zanim zawołano je do ogniska, leżały obok siebie na kocu i patrzyły, jak niebo przechodzi z błękitu w ten głęboki, ciepły kolor, który ma tylko pustynia tuż przed zmrokiem.

— Wiesz, co zrobię, jak dojdziemy do Kanaanu? — powiedziała Dalia. — Posadzę figowiec. Własny. I będę pod nim siedzieć, kiedy będzie duży i da cień. I będę miała dom z prawdziwymi drzwiami, takimi na zawiasach, co się otwierają i zamykają, nie płachtą. I kozę. Może dwie. I imiona im dam — nie „koza”, tylko prawdziwe imiona.

— Kozom dasz imiona — powtórzyła Sira.

— Każdy zasługuje na imię — powiedziała Dalia z przekonaniem. — Nawet koza. A ty co zrobisz?

Sira zastanowiła się. Jej marzenia były inne — krótsze, twardsze, mniej o drzewach.

— Nauczę się walczyć tak dobrze, że nikt nigdy nie skrzywdzi nikogo, kogo lubię.

Dalia obróciła głowę i spojrzała na siostrę długo, tym swoim spojrzeniem, które czasem wydawało się starsze niż ona sama.

— To smutne marzenie — powiedziała cicho. Bez wyrzutu, po prostu stwierdzając. — Moje jest o tym, co chcę mieć. Twoje jest o tym, czego się boisz. — Pomyślała chwilę. — Wiesz co? Zrobimy tak: ty będziesz pilnować, a ja będę sadzić figowce. I wtedy będzie i bezpiecznie, i ładnie. Dobrze?

– Dobrze – powiedziała Sira, choć nie do końca rozumiała, na co się zgadza. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to będzie jedno z tych zdań, które wróćą do niej po latach – że przez trzynaście lat na pustyni będzie pilnować, owszem, ale nie będzie już komu sadzić figowców. I że właśnie ten brak, ta pusta połowa umowy, będzie bolał najmocniej.



Kłopoty zaczęły się po południu. Tego dnia manna nie spadła – i nie był to pierwszy raz od kilku dni, bo susza manny trafiała się co pewien czas i zawsze powodowała to samo: najpierw szepty, potem głosy, potem krzyki.

Szepty były o tym, że Jahwe ich wystawia na próbę i trzeba mieć wiarę.

Głosy były o tym, że próby trwają już zbyt długo i człowiek ma swoje granice.

Krzyki były o Egipcie.

Zawsze były o Egipcie. To był niezawodny punkt dojścia każdej rozmowy, która zaczynała się od niedoboru jedzenia albo wody albo cierpliwości. Egipt był miejscem, które znali. Tam było cierpienie – ale cierpienie znajome, oswojone, z określonymi zasadami i przewidywalną codziennością. Tu była wolność – ale wolność w sercu pustyni, gdzie wolność znaczy głównie tyle, że jesteś wolny umrzeć z pragnienia albo z głodu, i to ty podejmujesz tę decyzję, a nie faraon.

– W Egipcie przynajmniej był chleb – mówiła jedna kobieta do drugiej przy wygaszonym palenisku.

– I mięso – mruczał stary mężczyzna. – Pamiętam ryby. Za darmo jadłem ryby nad Nilem.

– Za darmo – powtórzył ktoś z goryczą. – Za cenę pracy od świtu do nocy przy cudzych budowlach.

– Żyłem. Teraz też żyję, ale nie wiem po co.

Sira słuchała tych rozmów siedząc przy ojcu. Nie rozumiała wszystkiego – zbyt wiele odniesień do czasów przed jej urodzeniem, do miejsc, których nie widziała, do tęsknoty za czymś, co jej zdaniem nie

brzmiało tak bardzo jak raj, jak twierdzili dorośli. Ale rozumiała ton. I rozumiała, że coś się zmienia w powietrzu obozu.

A potem ktoś wyciągnął złotą figurkę.

Byk. Mały, odlany z brązu pokrytego cienką warstwą złota, z rogami wygiętymi do góry i oczami zrobionymi z czarnego kamienia. Właściciel trzymał go w górze i mówił coś głośno, coś o bogach Egiptu, którzy dawali urodzaj i wodę. Za nim ktoś drugi. Trzeci. Z toreb i sakw zaczęły wychodzić rzeczy, które przez całą drogę przez pustynię były schowane głęboko – figurki ptaków, scarabeusze, małe obrazki bogów z głowami zwierząt. Egipt, który wzięli ze sobą bez pozwolenia i bez chęci do przyznania, że wzięli.

Ojciec Siry wstał.

– Tato – powiedziała cicho Sira.

– Zostań tu. Z Dalią.

Poszedł do grupy starszych mężczyzn, którzy rozmawiali z napiętymi twarzami. Sira usłyszała urywki – *kapłani wiedzą, lud się burzy, ktoś musi pójść do Przybytku*. Coraz więcej głosów, coraz głośniejsze. Mały pies skulił się przy jej nodze.

Dalia siedziała nieruchomo i patrzyła na tłum.

– Boją się – powiedziała cicho.

– Wiem.

– Kiedy człowiek się boi, zapomina rzeczy.

Sira spojrzała na siostrę.

– Jakie rzeczy?

Dalia przez chwilę milczała.

– Że nie jest sam.



Mojżesz wyszedł z Przybytku bez płaszcza i bez laski, co było złym znakiem – bo Mojżesz bez laski wyglądał jak każdy stary człowiek, a kiedy wyglądał jak każdy stary człowiek i mimo to otwierał usta, to znaczyło, że to co powie, nie będzie miłe.

– MILCZCIE!

Tłum zamarł. Dźwięk jego głosu był nielogicznie głośny jak na człowieka jego wieku i budowy, co zawsze trochę dezorientowało tych, którzy słyszeli go po raz pierwszy.

– Ludu twardego karku! – Jego głos był spokojny teraz, co było gorsze niż krzyk. – Ludu, który widział morze rozstępujące się przed jego stopami! Który jadł chleb z nieba i pił wodę ze skały! Który widział ogień Jahwe nocą i obłok za dnia przez wszystkie te lata – i teraz stoi z egipskimi figurkami w rękach i pyta gdzie jest jego Bóg?!

Nikt nie odpowiedział. Kilku mężczyzn powoli chowało figurki za plecy z miną kogoś, kto ma nadzieję, że nie było to widać.

– Gdzie jest Jahwe – powtórzył Mojżesz, ciszej, niemal do siebie. – Jest tam gdzie zawsze był. Patrzy na was. I czeka aż przestaniecie się zachowywać jak ludzie, którym powiedziano co jest możliwe, i nie wierzą.

Jeden mężczyzna z tyłu tłumu krzyknął coś o jedzeniu i dzieciach. Mojżesz spojrzał w jego stronę. Cisza. Potem Arka Przymierza wyniesiona przez Lewitów – złoto połyskujące w popołudniowym słońcu – i powietrze zgęstniało w ten specyficzny sposób, który Sira czuła po raz pierwszy w życiu i który zapamiętała do końca: jakby coś bardzo dużego i bardzo cichego zatrzymało się właśnie tu i słuchało.

Grom uderzył w ziemię kilka kroków od tłumu. Jeden raz. Potem drugi. Dwie osoby padły. Krzyk przerażenia rozszedł się jak fala i nagle cały tłum klęczał – nie dlatego, że ktoś kazał, ale dlatego, że kolana same z siebie uznały, że to właściwa pozycja.

Sira wcisnęła się w ojca, który wrócił i stał za nią.

– Boisz się? – zapytał cicho.

Zastanowiła się przez chwilę. To było uczciwe pytanie i zasługiwało na uczciwą odpowiedź.

– Trochę.

– Dobrze. Strach przy właściwych rzeczach jest mądry.

Manna zaczęła spadać. Najpierw kilka ziarenek, potem więcej, potem gęsto jak prawdziwy deszcz – i tłum, który sekundę wcześniej klęczał ze strachu, zaczął wstawać ze śmiechem i łzami jednocześnie, bo człowiek jest tak zbudowany, że potrafi robić obie te rzeczy naraz i wcale mu to nie przeszkadza.

Ojciec Siry położył rękę na jej ramieniu.

– Zapamiętaj to.

– Co?

– Że ten sam człowiek, który przed chwilą tańczył z egipskim bykiem, za chwilę będzie śpiewał psalm. I obydwie będą szczere.

Sira patrzyła na tłum.

– Dlaczego?

Ojciec zastanowił się.

– Bo człowiek jest słabszy niż myśli i silniejszy niż chciałby przyznać. I żyje między tymi dwoma rzeczami przez całe życie.



Wieczór przy ognisku rodziny Hebera był czymś, na co Sira i Dalia czekały przez cały dzień – bo wieczory przy ognisku z wujkiem Boazem były zawsze warte czekania.

Boaz, brat matki, przyszedł z rodziną jeszcze przed zachodem słońca. Widać go było z odległości – był to człowiek którego nie można nie zauważyć, nie dlatego że był wysoki czy hałaśliwy, ale dlatego że zajmował więcej przestrzeni niż wynikało z jego fizycznych wymiarów. Szeroki w barkach, z brzuchem który świadczył o tym że nie zaznał wielu lat postu w Egipcie, z brodą przystrzyżoną w ząbki i oczami wesołymi jak oczy człowieka który jest pewien że świat jest w gruncie rzeczy miejscem komicznym i tylko część ludzi to rozumie.

– Heber! – zawołał już od progu namiotu, choć progu nie było bo to był namiot. – Słyszałem co się działo przy Przybytku! Czy to prawda że grom trafił kogoś kto miał złotego byka?

– Dwóch ludzi padło – powiedział Heber.

– Dwóch! – Boaz usiadł ciężko przy ognisku, a ogień zatrzeszczał jakby z powodu dodatkowego ciężaru powietrza jaki przyniósł ze sobą. – Ciekawe. Kiedy stałem tu i modliłem się do Jahwe żeby nie trafił właśnie w mnie, to byłem przekonany że gdzieś się myli. Ale może jednak wie co robi.

– Boaz – powiedziała Mirta, jego żona, spokojnym głosem kobiety która nauczyła się dobrze dawkować sprzeciw. – Nie bluźnij.

– Ja nie bluźnię! Wyrażam podziw! To różnica!

Za nim weszła Mirta – drobna, cicha, z twarzą kogoś kto przez wiele lat spędza energię na opanowywaniu rzeczy których nie da się opanować – i za nią dwaj chłopcy. Bliźniacy. Może siedem lat, może osiem. Jednakowi jak dwie krople wody z tego samego źródła, co oboje wiedzieli i co oboje regularnie wykorzystywali ku wygodzie własnej a rozpaczy reszty obozu.

– Efron i Elan – powiedział Heber do córek. – Znacie ich.

– Ja jestem Efron – powiedział jeden.

– Ja jestem Efron – powiedział drugi.

Chwila ciszy.

– Który jest który? – zapytała Sira.

Obaj roześmiali się i pobiegli w kierunku psa pasterskiego, który natychmiast uciekł pod namiot, bo pies miał swoje doświadczenia z tymi dwoma.

– Nie da się ich odróżnić – wyznała Mirta ze zmęczoną godnością. – Nawet matka nie zawsze.

– Ja zawsze wiem który jest który – powiedział Boaz.

– Bo pytasz Elana który jest Efronem.

– I co w tym złego? Skuteczna metoda.



Przy ognisku zrobiło się gwarnie. Matka Siry – Aszera, córka Lewiego – przyniosła placki z mąki z manny i suszone owoce, Mirta dołożyła oliwę i sól, i przez chwilę siedzieli wszyscy razem w ciepłym kręgu światła, sześciu dorosłych i czworo dzieci, i było to dokładnie to co obóz na pustyni potrafi dać najlepiej – poczucie że w tym konkretnym miejscu i czasie jest wystarczająco dużo wszystkiego co ważne.

Boaz wziął kawałek placka, obejrzał go krytycznie, i powiedział:

– Wiesz Heber, że w Egipcie jadłem chleb który smakował jak chleb. Teraz jem chleb który smakuje jak manna. Bo jest zrobiony z manny. Bo Jahwe daje mannę i nie pyta czy ktoś chciałby może zmianę.

– Manna jest darem – powiedziała Aszera.

– Darem, zgoda. Ale może raz na miesiąc mógłby dać pszenicę? Dla urozmaicenia? Nie mówię żeby codziennie. Rozumiem że Kanaan jest daleko.

– Boaz – powiedziała Mirta.

– Nie bluźnię. Wyrażam gastronomiczne aspiracje.

Heber roześmiał się. Aszera też, choć z miną kogoś kto stara się tego nie robić.

– Opowiedz im o wielbłądzie – powiedział Heber.

– O którym wielbłądzie? Miałem do czynienia z wieloma wielbłędami przez te wszystkie lata i każdy z nich był inaczej nieprzyjemny.

– O tym z Memfis.

Oczy Boaza rozbliły. Sira i Dalia natychmiast przeniosły się bliżej – bo ton głosu Hebera mówił że to będzie historia warta słuchania.

– A! Ten wielbłąd – powiedział Boaz, prostując się i nabierając powietrza jak bard przed śpiewem. – Słuchajcie. Byłem wtedy młodszy. Pracowałem z waszym ojcem przy karawanach – ja pilnowałem wielbłądów, on pilnował żeby nikt ich nie ukradł. Dobry podział obowiązków. I mieliśmy jednego wielbłąda, egipski gatunek, długa szyja, pogardliwy wyraz pyska, temperament faraona przy złym humorze.

– Wielbłądy mają pogardliwy wyraz pyska bo na to zasługują – wtrąciła Mirta.

– Mirta. Proszę. Opowiadam.

– Opowiadaj.

– Więc. Ten wielbłąd nie lubił być prowadzony. Chciał iść sam. Gdy go prowadziłeś – gryzł. Gdy szedł sam – szedł gdzie chciał, a niekoniecznie tam gdzie karawana. Trudne zwierzę. Ale Heber mówi: Boaz, daj radę, bo nikt inny nie da. I ja daję radę. Przez dwa tygodnie uczę tego wielbłąda szacunku. Codziennie rano rozmawiam z nim.

– Rozmawiałeś z wielbłądem – powiedział Heber beznamiętnie.

– Rozmawiałem. I słuchał. Bo wielbłąd to stworzenie które ma duszę, tylko ją ukrywa za pychą. Więc po dwóch tygodniach wielbłąd mnie lubi. Idzie za mną jak pies. Kupiec jest zachwycony. I wtedy – słuchajcie – przyjeżdża inspektor faraona, wielki człowiek w białej szacie ze złotą obrączką. Chce sprawdzić stan

karawany. Podchodzi do wielbłąda żeby ocenić kondycję. I wielbłąd – ten sam wielbłąd który przez dwa tygodnie jadł z mojej ręki – pluje mu na szatę.

Sira i Dalia parsknęły. Efron i Elan – albo Elan i Efron, bo kto wie – turlali się po ziemi ze śmiechem.

– Inspektor jest wściekły. Patrzy na mnie. Mówi: to twój wielbłąd? Mówię: nie mój, karawany. On mówi: źle wytresowany. Ja mówię: proszę pana, ten wielbłąd przez dwa tygodnie chodził za mną jak pies. On mówi: to widać że mierzy ludzi z którymi chodzi. I odchodzi.

Boaz urwał dramatycznie.

– I wiesz co, Heber? Do dzisiaj nie wiem czy to była obelga pod adresem mnie czy pod adresem wielbłąda. Bo oboje wyszliśmy z tego zdarzenia z pewnym poczuciem godności.

Śmiali się wszyscy. Nawet Mirta, choć krócej niż reszta.

– Tato – powiedział jeden z bliźniaków. Który, nie wiadomo. – A prawda że w Egipcie były żaby wszędzie?

– Och, żaby. – Boaz machnął ręką jak na przyjemne wspomnienie. – Żaby były wszędzie. W misach z jedzeniem. W pościeli. Jeden Egipcjanin z sąsiedztwa obudził się rano z żabą w bucie. Krzyczał przez godzinę. Rozumiem go – nie dlatego że się przestraszył, ale dlatego że w sandałach żaby w Egipcie są twarde jak kamień i noga boli potem cały dzień.

– Boaz – powiedział Heber. – To nie jest historia dla dzieci.

– To historia historyczna. Dzieci powinny znać historię.

– Historię żaby w bucie.

– A dlaczego nie? Każda historia zaczyna się od szczegółu. Wielkie cuda Jahwe zaczęły się od żab. Żaby doprowadziły do owadów, owady do zarazy, zaraza do tego co wiecie. Więc ta żaba w bucie sąsiada to był, można powiedzieć, pierwszy krok do Exodusu.

Milczenie. Heber patrzył na niego przez chwilę.

– Tej logiki nie było w żadnym z opowiadań Mojżesza.

– Bo Mojżesz nie musi się martwić o szczegóły. Ja muszę.

Aszera chrząknęła i zebrała talerze, bo wiedziała że to jest moment kiedy rozmowa mogła pójść w kierunku który wymagałby wyjaśnień przed Przybytkiem.

– Dzieci spać – powiedziała.

– Jeszcze chwilę – powiedziała Sira.

– Spać.



Ale kiedy matka odeszła po wodę do studni i ojciec rozsiadł się wygodniej przy ognisku, i kiedy Mirta zasnęła siedząc prosto jak to ma w zwyczaju, a bliźniacy kłócili się cicho o to czyj koc jest czyj – bo bliźniacy zawsze mają do kłócenia się o czyj koc jest czyj – Heber i Boaz zostali przy gasnącym ogniu.

Sira nie spała. Leżała za namiotem i słuchała.

– Myślisz że dożyjemy Kanaanu? – zapytał Boaz cicho. Innym głosem niż przez cały wieczór – nie wesołym, nie komicznym. Zwykłym głosem człowieka który mówi to co naprawdę myśli.

– Nie wiem – powiedział Heber.

– Mamy po ile? Trzydzieści kilka lat. Mojżesz mówi że Jahwe obiecał ziemię ale nie obiecał że każdy z tych co wyszli z Egiptu ją zobaczy.

– Wiem.

– Dlatego mam dzieci. Żeby ktoś zobaczył.

Heber milczał przez chwilę.

– Pamiętasz Nil?

– Każdego dnia. Zwłaszcza gdy manna jest szczególnie sucha.

– Ja też pamiętam. Ale pamiętam też co znaczyło być czyjąś własnością. Co znaczyło że twoja praca i twoje życie i życie twoich dzieci należy do kogoś innego. – Heber patrzył w ogień. – Dlatego idę. Nawet jeśli nie dojdę.

Boaz siedział przez chwilę w ciszy. Potem powiedział:

– Ty zawsze robiłeś z rzeczy poważnych rzeczy proste. Ja z rzeczy prostych robię rzeczy śmieszne. Razem wychodzimy na całość.

– Dlatego pracowaliśmy razem przy karawanach przez tyle lat.

– I żaden z nas nie zginął. Co jest samo w sobie cudem większym niż żaby.

Heber roześmiał się cicho żeby nie budzić śpiących.

Sira leżała za namiotem i patrzyła w gwiazdy. I zapamiętała to – nie słowa, bo słowa są za trudne do zapamiętania dla sześciolatki – ale ton głosu. Ten głos Boaza bez śmiechu. I odpowiedź ojca.

Zapamiętała to tak dobrze, że przez następne trzynaście lat, w bandzie Abirama, przy każdym ognisku przy którym siedziała – ten głos wracał. Cicho. Pewnie. Jak coś co nie zamierza zniknąć tylko dlatego że minęło dużo czasu.



Ale zanim przyszedł sen, był jeszcze ten moment – najzwyklejszy z możliwych, i właśnie dlatego najważniejszy.

Wczołgały się obie pod jeden koc, choć każda miała własny, bo zawsze tak robiły i żadna nie pamiętała, kiedy się to zaczęło. Dalia była cieplejsza – zawsze była cieplejsza, jakby miała w sobie własne małe ognisko – i Sira wsunęła zmarznięte stopy pod jej łydki. Dalia pisnęła, ale się nie odsunęła.

– Masz stopy jak żaby z plagi – szepnęła. – Zimne i mokre.

– A ty chrapiesz jak wielbłąd wujka Boaza.

– Nieprawda.

– Prawda. *Chrrr-pff. Chrrr-pff.* – Sira naśladowała ją cicho, żeby nie obudzić rodziców, i Dalia zaczęła trząść się od tłumionego śmiechu. A śmiech jednej zawsze zarażał drugą, więc po chwili obie dusiły go w kocu, czerwone, z mokrymi oczami, bojąc się parsknąć na głos.

Kiedy się uspokoiły, Dalia odszukała w ciemności rękę siostry i splotła z nią palce. Ich stary zwyczaj, którego nie trzeba było tłumaczyć.

– Wiesz, o czym czasem myślę? – powiedziała sennie. – Że jak będziemy duże, to zamieszkamy blisko siebie. Nie w jednym namiocie, bo będziesz miała męża i będziesz chrapać jeszcze głośniej. Ale blisko. Tak, żeby twoje dzieci mogły przybiec do mnie, kiedy się na ciebie pogniewają, a ja im dam miodu i powiem, że ich mama wcale nie jest taka straszna.

– Skąd wiesz, że będę miała dzieci – mruknęła Sira.

– Będziesz. I będę uparte jak ty. – Dalia ziewnęła. – A ja będę tą ciocią, do której się ucieka. Każdy potrzebuje takiej cioci. Ja będę wasza.

– Dobrze – powiedziała Sira. – To ty bądź tą ciocią. A ja zadbam, żeby nikt nigdy nie rozdzielił nas tak daleko, żebyś nie mogła przybiec. To moja robota. A ty co mi obiecasz?

Dalia milczała tak długo, że Sira myślała, że już śpi.

– Będę przy tobie – powiedziała w końcu. – Cokolwiek się stanie. Ty pilnujesz, żebyśmy były blisko, ja jestem przy tobie. Tak się umawiamy.

Sira nie wiedziała, co się odpowiada na coś takiego, kiedy ma się sześć lat. Ścisnęła tylko mocniej rękę siostry. Wtedy to wystarczało – ścisk dłoni był całą umową, jakiej dwie siostry potrzebują. I obie wierzyły, z tą absolutną pewnością, jaką mają tylko dzieci, że umów się dotrzymuje.

Nie wiedziała jeszcze, że to ostatni raz. Że za kilka dni splecione palce ktoś rozerwie siłą, każdą w inną stronę. Ale tej nocy umowa stała, koc był ciepły, a siostra oddychała obok – i to było wszystko, czego trzeba.

Tej nocy Dalia zasnęła pierwsza, tak jak zawsze – Dalia zasypiała szybko i głęboko, bez kłopotów, bo Dalia miała ten dar spokojnego snu który Sira zawsze trochę zazdrościła. Sira leżała obok i patrzyła na siostrę i myślała o jutrzejszym dniu i o ojcu i o tym co powiedział przy ognisku.

Przy tym ognisku – tym konkretnym, przy tym konkretnym namiocie, tej konkretnej nocy – Heber powiedział o jasności. I Sira, sześciolatka która nie miała pojęcia że to ostatnia zwykła noc, zapamiętała to dlatego że brzmiało jak coś ważnego.

Bo jest pewna kategoria słów które są ważne nie dlatego że się je rozumie w momencie kiedy się je słyszy, ale dlatego że brzmią jakby kiedyś się je zrozumie. I te słowa zostają.

Ten głos wracał przez trzynaście lat. Cicho. Pewnie. Jak coś co nie zamierza zniknąć.

KONIEC ROZDZIAŁU I